

Autor EWANGELII KRWI i EKSPEDYCJI

JAMES ROLLINS



OKO BOGA

PROLOG

Środkowe Węgry

Lato, rok 453

Król w małżeńskim łożu umierał zbyt wolno.

Skrytobójczyni klęczała nad nim. Córka burgundzkiego księcia, związana z barbarzyńskim władcą sakramentem małżeństwa i potęgą intrygi, była jego siódmą żoną, którą poślubił poprzedniego wieczoru. Ildiko – tak miała na imię – oznaczało w jej ojczystym języku „nieposkromiona wojowniczką”, jednak truchlejąc u boku umierającego mężczyzny – krwawego tyrana, który zdobył przydomek *Flagellum Dei*, Bicz Boży, posługującego się mieczem, stworzonym ponoć przez samego scytyjskiego boga wojny – nie czuła w sobie nic wojowniczego.

Bano się go tak, że sam dźwięk imienia – Attyla – otwierał bramy miast i przełamywał oblężenia, teraz jednak, nagi i umierający, nie wydawał się ani trochę groźniejszy od pierwszego lepszego człowieka. Był nieco wyższy od Ildiko, ale z powodu grubych kości i masywnych mięśni, typowych dla nomadyjskiego ludu, z którego pochodził, robił wrażenie niskiego. Szeroko rozstawione i głęboko osadzone oczy, zaczerwienione od licznych kielichów wina wypitych w trakcie wesela sprawiały, że kojarzył jej się ze świnią – zwłaszcza gdy tępo się gapił, biorąc ją w nocy w sposób niezbyt odbiegający od parzenia się zwierząt.

Teraz ona się w niego wpatrywała, oceniała każde zduszone westchnienie i próbowała oszacować, kiedy śmierć wreszcie go zabierze. Tak, zbyt oszczędnie obeszła się z trucizną wręczoną jej przez biskupa Walencji – który dostał ją od arcybiskupa Wiednia za zgodą króla Burgundów, Gunderyka. Pohamowała ją obawa, że tyran wyczuje gorycz w weselnym pucharze.

Ścisnęła w dłoni do połowy pustą szklaną fiolkę. W spisku musiały maczać palce osoby znacznie wyżej postawione od króla Gunderyka i Ildiko przeklinała to, że na jej drobne ramiona złożono tak wielki ciężar. Jak los świata – zarówno obecnego, jak i przyszłego – mógł zależeć od niej, dziewczyny liczącej sobie zaledwie czternaście wiosen?

O konieczności dokonania tego strasznego czynu poinformował ją zamaskowany człowiek, który zjawił się u wrót domu ojca pół księżycu temu. Była wtedy obiecana barbarzyńskiemu królowi, ale zaprowadzono ją do tajemniczego obcego. Na jego lewej dłoni błysnął kardynalski złoty pierścień, lecz mężczyzna szybko go ukrył. Opowiedział, jak barbarzyńskie hordy Attyli przed niecałym rokiem ruszyły na Padwę i Mediolan, wyrzynając każdego, kto stanął im na drodze. Mężczyzn, kobiety, dzieci. Przeżyli tylko ci, którym udało się uciec w góry albo na nadmorskie bagna, i to od nich dowiedziano się o niesłychanej brutalności najeźdźców.

– Od jego pogańskiego miecza miał paść także Rzym – powiedział siedzący przy wygasłym kominku kardynał. – Świadom pewnego nieszczęścia, Jego Świątobliwość papież Leon opuścił swój ziemski tron i spotkał się z tyranem w okolicy Mantui, nieopodal jeziora Garda. Siłą kościelnej potęgi udało mu się odpędzić bezlitosnego Huna.

Ildiko wiedziała, że barbarzyńców odstraszyła nie tylko „kościelna potęga”. Bardzo pomógł zabobonny strach króla Hunów.

Przerażona nie mniej niż Attyla podczas rozmowy z papieżem, spoglądała na skrzynkę stojącą na cokole u stóp łóża, będącą zarówno darem od papieża, jak i groźbą. Przedmiot był niewielki, krótszy i

mniej od jej dziewczęcego przedramienia, ale krył w sobie klucz do losu świata. Bała się go dotknąć i otworzyć, wiedziała jednak, że będzie musiała to zrobić, gdy świeżo poślubiony mąż umrze.

Teraz musiała się skupić na nim.

Z niepokojem popatrzyła ku zamkniętym drzwiom królewskiej komnaty weselnej. Niebo za oknem bladło na wschodzie, zapowiadając nowy dzień. Z nadejściem świtu pojawią się ludzie króla. Attyla musiał do tego czasu wyzionąć ducha.

Patrzyła, jak z każdym ciężkim oddechem z jego nozdrzy wypływa odrobina spienionej krwi. Słuchała chrapliwego bulgotu leżącego na plecach mężczyzny. Ze słabym kasznięciem pojawiła się krew na wargach; strużka spłynęła po uczesanej w dwa szpice brodzie i zebrała się w zagłębieniu pod jabłkiem Adama. Powierzchnia ciemnego jeziora drżała w rytm uderzeń serca, pokazując, że każde kolejne jest słabsze od poprzedniego.

Ildiko modliła się, aby umarł. Szybko.

Spal się w płomieniach piekła, gdzie twe miejsce...

Jakby niebiosy wysłuchały prośby – z zalanego krwią gardła wydobył się ostatni szarpnięty oddech, z ust bluznęła kolejna porcja krwi, pierś opadła po raz ostatni i więcej się nie uniosła.

Ildiko załkała cicho z ulgi i przestała powstrzymywać łzy. Zadanie wykonane. Bicz Boży odszedł. W najbardziej odpowiednim czasie. Nie będzie więcej niszczył świata.

W domu jej ojca kardynał opowiedział Ildiko o planie Attyli, by ponownie skierować wojska przeciw Włochom. Podobne pogroźki słyszała podczas wesela – pyszałkowe zapowiedzi splądrowania Rzymu, zrównania miasta z ziemią i wyrżnięcia wszystkich co do nogi. Barbarzyńskie miecze miały na zawsze zgasić jasno świecącą latarnię cywilizacji.

Jej czyn ocalił teraźniejszość.

Nie wolno jej było jednak na tym poprzestać.

Zagrożona była przyszłość.

Odsunęła się od łoża, sunąc po podłodze na gołych kolanach,

po czym wstała. Zbliżyła się do skrzynki, bała się bardziej niż wtedy, gdy sypała truciznę do kielicha.

Skrzynkę wykonano z czarnego żelaza, boki miała płaskie, górę na zawiasach. Nie była zdobiona, jedynie na wierzchu umieszczono kilka symboli. Ildiko nie знаła tego pisma, kardynał powiedział jednak, czego ma się spodziewać. Przekazał, że to litery języka, jakim posługiwali się dawni przodkowie Attyli – nomadyczne plemiona z Dalekiego Wschodu.

Ildiko dotknęła pierwszego symbolu składającego się z kilku prostych linii.



– Drzewo – szepnęła, próbując znaleźć w sobie siłę. Symbol rzeczywiście mógł się kojarzyć z drzewem. Z rewerencją dotknęła niemal identycznego sąsiedniego symbolu – drugiego drzewa.

Dało jej to siłę, by dotknąć pokrywy i otworzyć skrzynkę. W środku znajdowała się druga skrzynka – z połyskującego srebra. Napis na wierzchu był dość toporny, ale na pewno nie z powodu braku umiejętności rytownika.



Składający się z niewyszukanych kresek symbol oznaczał: „rozkaz” albo: „instrukcja”.

Choć czas naglił, Ildiko uspokoiła drżące palce i uniosła wieczko srebrnej skrzynki, w której była trzecia – złota. Jej powierzchnia migotała, w świetle świec wydawała się płynna. Wyryty symbol wyglądał jak połączenie znaków na żelazie i srebrze. Jakby nałożono

je na siebie, aby utworzyły nowe słowo.



Kardynał ostrzegł, co znaczy trzeci znak.

– Zakazane... – powtórzyła, wstrzymując oddech.

Z wielką ostrożnością otworzyła złotą skrzynkę. Wiedziała, co znajdzie w środku, jednak widok sprawił, że na ramionach dostała gęśniej skórki.

Żółta kość czaszki niemal się jarzyła. Brakowało dolnej szczęki, puste oczodoły gapiły się ślepo w górę, jakby chciały dostrzec niebo. Kość ozdobiono napisem. Zaczynał się na szczycie czaszki i spływał w dół ciasną spiralą. Wykonano go w innym języku niż napisy na skrzynkach. Starożytnym pismem Żydów – tak przynajmniej powiedział kardynał. Wyjaśnił także przeznaczenie relikwii.

Czaszka była niezwykle ważnym elementem starożytnej żydowskiej magii – służyła zaklinaniu Boga i błaganiu Go o łaskę i ocalenie.

Papież Leon подарował tę czaszkę Attyli, po czym poprosił o oszczędzenie Rzymu. Ostrzegł także, iż w Rzymie znajduje się wiele równie potężnych talizmanów, chronionych w tym wspaniałym mieście przez gniew Boga, i każdy, kto ośmieli się zburzyć mury miasta, skaże się na śmierć. Na dowód przypomniał o losie przywódcy Wizygotów, króla Alaryka I, który czterdzieści lat wcześniej zajął Rzym i wkrótce po wyjeździe z miasta nieoczekiwanie zmarł.

Obawiając się przekleństwa, Attyla uciekł z Włoch z cennym skarbem, najwyraźniej jednak czas złagodził jego obawy i podsycił

chęć ponownego zaatakowania Rzymu – sprawdzenia, czy jego legenda oprze się gniewowi Boga.

Ildiko popatrzyła na nieruchome ciało.

Miała przed sobą dowód, że wielki wódz przegrał.

Nawet najpotężniejsi nie uciekną przed śmiercią.

Sięgnęła po czaszkę. Jej spojrzenie spoczęło na zadrapaniach znajdujących się pośrodku spirali. Inkantacja na czaszce była prośbą o ocalenie przed tym, co zapisano w tym właśnie miejscu.

„Zadrapania” określały datę końca świata.

Klucz do fatum leżał pod czaszką, ukryty pod żelazem, srebrem, złotem i kością. Jego znaczenie poznano jeden księżyc temu, po pojawieniu się u bram Rzymu nestoriańskiego kapłana przybyłego z Persji. Usłyszał on o darze dla Attyli wydobytych ze skarbów Kościoła i przekazanych kiedyś Rzymowi przez samego Nestoriusza, patriarchę Konstantynopola. Kapłan poinformował papieża Leona, co kryje się pod osłoną trzech metali i kości, w jaki sposób przedmiot dotarł z leżącej daleko na wschodzie krainy do Konstantynopola i dlaczego wysłano go do Wiecznego Miasta, gdzie miał zostać bezpiecznie schowany.

Na koniec kapłan poinformował papieża, czyja czaszka znajduje się w środku.

Palce Ildiko ponownie dotknęły relikwii i znów zdrząły. Choć oczodoły były puste, miała wrażenie, że wwierca się w nią surowe spojrzenie, a dawno zmarły człowiek ocenia jej wartość – człowiek, który jeśli nestoriański kapłan mówił prawdę, kiedyś spoglądał na jej Pana, na własne oczy oglądał żywego Jezusa Chrystusa.

Zawahała się przed podniesieniem świętej relikwii i natychmiast została ukarana – rozległo się pukanie do drzwi komnaty. Zaraz potem usłyszała gardłowy okrzyk. Nie rozumiała języka Hunów, było jednak oczywiste, że nie słysząc odpowiedzi króla, ludzie Attyli zaraz wejdą do środka.

Oby się nie okazało, że czekała zbyt długo.

Podbudzona do działania, podniosła czaszkę, aby odsłonić to, co

leżało pod nią... niczego jednak nie było. Na dnie skrzynki znajdował się jedynie złoty odcisk w kształcie tego, co kiedyś się tam znajdowało: starożytny krzyż, relikwia, która rzekomo spadła z nieba.

Nie było go jednak. Został skradziony.

Ildiko popatrzyła na martwego męża. Znano go nie tylko z brutalności, ale także z umiejętności tworzenia błyskotliwych strategii. Uważano, że miał oczy i uszy szeroko otwarte. Czyżby król Hunów dowiedział się, co nestoriański kapłan ujawnił w Rzymie? Zabrał niebiański krzyż i go schował? Czy dlatego nagle ponownie uwierzył w możliwość zdobycia Rzymu?

Krzyki za drzwiami stawały się coraz głośniejsze, łomot był coraz bardziej natarczywy.

Zrozpaczona Ildiko włożyła czaszkę z powrotem do skrzynki i pozamykała wszystkie trzy wieka. Opadła na kolana i zasłoniła twarz dłońmi. Gdy drzwi zaczęły pękać z trzaskiem, wstrząsnęło nią łkanie.

Łzy zalały jej gardło jak krew gardło jej męża.

Do sali weszli mężczyźni. Na widok martwego króla pokrzykiwania się nasiliły. Po chwili rozległo się zawodzenie.

Nikt nie śmiał dotknąć Ildiko, rozpaczającej młodej żony kiwającej się na kolanach obok łoża. Sądzili, że opłakuje męża, martwego króla, jednakże się mylili.

Opłakiwała świat.

Świat skazany na to, że spłonie.

Czasy współczesne

Rzym, 17 listopada, godz. 16.33 czasu miejscowego

Nawet gwiazdy sprzymierzyły się przeciwko niemu.

Opatulony *monsignore* Vigor Verona szedł zacienioną stroną Piazza della Pilotta. Drżał mimo grubego wełnianego swetra i płaszcza – nie z zimna, lecz z lęku, który narastał, im dłużej *monsignore* przyglądał się miastu.

Na zmierzchającym niebie jarzyła się kometa wisząca dokładnie nad najwyższym punktem Rzymu – kopułą Bazyliki Świętego Piotra. Niebiański gość – najjaśniejszy od wieków – świecił tak mocno, że nie dało się dostrzec Księżyca, który właśnie wszedł i rzucał na gwiazdy cień długiego, migotliwego ogona. Na przestrzeni wieków taki widok często uważano za zwiastun nieszczęścia.

Vigor Verona modlił się, aby tym razem sprawy potoczyły się inaczej.

Mocniej oplótł ramionami pakunek. Po otwarciu owinął go dość nieporadnie papierem, w którym został przysłany, na szczęście nie musiał iść daleko. Widział już fasadę Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego z bocznymi skrzydłami i przybudówkami. *Monsignore* Verona ciągle jeszcze był członkiem Papieskiego Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej, ale wykładał tylko gościnnie.

Służył obecnie Stolicy Apostolskiej jako prefekt Archivio Segreto Vaticano – Tajnych Archiwów Watykanu. Brzemie, które niósł, nie wiązało się jednak z jego pracą na uczelni czy archiwum, lecz z przyjaźnią.

Dar od martwego przyjaciela.

Dotarł do głównego wejścia uniwersytetu i ruszył szybkim krokiem przez atrium z białego marmuru. Zgodnie z przynależnym mu prawem miał w budynku gabinet. A przychodził tu bardzo często – by katalogować i zaopatrywać w odnośniki ogromny księgozbiór uniwersytetu. Ponad milion woluminów, w tym wiele tekstów starożytnych i rzadkich wydań, mieściło się w stojącej nieopodal głównego budynku sześciopiętrowej wieży, czyniąc z niej godnego rywala nawet rzymskiej Biblioteki Narodowej.

Nic stąd i z Archiwów Watykanu nie mogło się jednak równać z woluminem, który Vigor Verona miał przy sobie – ani z tym, co dołączono w paczce. Właśnie dlatego poprosił o radę jedyną osobę w Rzymie, której w pełni ufał.

Po pokonaniu kilku kolejnych klatek schodowych i wąskich korytarzy zaczęły mu dolegać kolana. Mimo sześćdziesięciu paru lat na karku kilkadziesiąt lat pracy archeologa w terenie sprawiło, że utrzymywał niezłą formę fizyczną, niestety ostatnio przesiadywał zbyt długo w archiwach, był więziony za biurkami i stertami książek, przykuty odpowiedzialnością wobec papieża.

Czy podołam temu zadaniu, Panie?

Będzie musiał.

W końcu dotarł do wydziałowego skrzydła uniwersytetu i dostrzegł znajomą postać, opartą o drzwi jego gabinetu. Siostrzenica go ubiegła. Musiała przyjść prosto z pracy, miała bowiem na sobie mundur carabinieri – granatowe spodnie z czerwonymi lampasami i lamowaną szkarłatem kurtkę ze srebrnymi epoletami. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, a już była porucznikiem Comando Carabinieri Tutela Patrimonio Culturale, czyli jednostki policyjnej wyspecjalizowanej w ochronie dóbr kultury – zwalczającej handel

kradzionymi dziełami sztuki i relikwiami.

Na jej widok poczuł dumę. Wezwał ją zarówno z miłości, jak i ze względu na wiedzę. Nikomu nie ufał bardziej niż Rachele.

– Wuju Vigorze... – Ucisnęła go, odsunęła się, założyła ciemne włosy za ucho i przyjrzała mu się bystrymi oczami barwy karmelu.
– Co to za pilna sprawa?

Vigor Verona rozejrzał się po korytarzu, o tej jednak porze, zwłaszcza w niedzielę, nie było widać żywej duszy, a wszystkie gabinety były ciemne i wyglądały na zamknięte.

– Wejdz, to wyjaśnię.

Otworzył drzwi i wprowadził Rachele do środka. Choć *monsignore* piastował wysokie stanowisko, jego gabinet był ciasnym pomieszczeniem, zastawionym spiętrzonymi skrzyniami, z których wysypywały się książki i sterty czasopism. Małe biurko stało oparte o ścianę z oknem wąskim jak otwór strzelniczy. Księżyc rzucał na wszechobecny chaos snop srebrnego światła.

Dopiero gdy zamknął drzwi, Vigor Verona odważył się zapalić lampę. Uspokojony znajomym otoczeniem, westchnął cicho z ulgą.

– Pomóż mi nieco sprzątnąć na biurku.

Kiedy pojawił się kawałek wolnej przestrzeni, odłożył swe brzemie i odwinął szary pakowy papier, ukazując drewnianą skrzynkę.

– Przyszła dziś w ciągu dnia – powiedział. – Bez adresu zwrotnego, jedynie z nazwiskiem nadawcy.

Przekreślił owijający paczkę papier, tak aby pokazać ją Rachele.

Ojciec Josip Tarasco

– Ojciec Josip Tarasco – przeczytała Rachele. – Powinnam wiedzieć, kto to?

– Nie. – Vigor popatrzył na siostrzenicę. – Ponad dziesięć lat temu uznano go za zmarłego.

Zmarszczyła czoło i lekko zeszywniała.

– Paczka jest w zbyt dobrym stanie, aby mogła być tyle czasu zagubiona. – Odwzajemniła się wujowi nie mniej wnikliwym spojrzeniem. – Czy ktoś mógł w ramach okrutnego żartu sfałszować podpis?

– Nie widzę powodu. Sądzę raczej, że nadawca właśnie dlatego zaadresował przesyłkę ręcznie, abym wiedział, od kogo pochodzi. Byliśmy z ojcem Tarasco serdecznymi przyjaciółmi. Porównałem pismo na paczce z kilkoma starymi listami od niego, które przechowuję. Charakter się zgadza.

– Więc jeśli żyje, to dlaczego uznano go za zmarłego?

Vigor westchnął.

– Ojciec Tarasco zaginął w trakcie wyprawy naukowej na Węgry. Pisał szeroko zakrojoną pracę o tamtejszych polowaniach na czarownice na początku osiemnastego wieku.

– O polowaniach na czarownice?

Vigor skinął głową.

– Tuż po tysiąc siedemsetnym roku Węgry nawiedziła trwająca dziesięć lat susza, której towarzyszyły głód i zaraza. Potrzebny był kozioł ofiarny, ktoś, na kogo można było zrzucić winę. W ciągu pięciu lat zabito ponad czterysta osób obu płci oskarżonych o paranie się czarami.

– A twój przyjaciel? Co z nim?

– Gdy Josip wyjechał na Węgry, kraj wyrwał się spod sowieckiej władzy. Sytuacja była niestabilna, a zadawanie zbyt wielu pytań, zwłaszcza w regionach wiejskich, okazało się niezbyt bezpieczne. Po raz ostatni słyszałem jego głos na nagraniu, które zostawił mi na automatycznej sekretarce. Ponoć trafił na ślad czegoś niepokojącego, dotyczącego grupy czarowników i czarownic, sześciu mężczyzn i sześciu kobiet, spalonych w małym miasteczku na południu Węgier. Brzmiał, jakby był równocześnie przerażony i podniecony. Potem już się nie kontaktował. Nie dał znaku życia. Policja i Interpol prowadziły śledztwo przez rok, po kolejnych czterech latach milczenia uznano go za zmarłego.

– Czyli się ukrywał. Ale dlaczego? A co ważniejsze: dlaczego ujawnił się dziesięć lat później? Akurat teraz?

– Odpowiedź na twoje ostatnie pytanie daje nam to, co przysłał. Podejdź i spójrz!

Vigor nabrał głęboko powietrza i otworzył pokrywę skrzynki. Ostrożnie wyjął pierwszy z dwóch znajdujących się w niej przedmiotów i położył go na biurku, w świetle księżyca.

Rachele odruchowo cofnęła się o krok.

– To czaszka? Ludzka... czaszka?

– Owszem.

Opanowując zaskoczenie, Rachele podeszła bliżej. Od razu dostrzegła napis, wyglądający jak wydrapany kurzym pazurem i trzymając palec kilka centymetrów nad czaszką, zakresliła krzywą zgodną ze spiralnym przebiegiem tekstu.

– A te napisy?

– Język judeo-aramijski. Moim zdaniem to relikwia związana z wczesną talmudyczną magią praktykowaną przez babilońskich Żydów.

– Magią? Czyli z czarami?

– W pewnym sensie. Zaklęcia służyły odpędzaniu demonów albo błaganiu o pomoc. Archeologowie odkryli tysiące podobnych artefaktów, głównie misek z inkantancjami, ale też czaszek. Dwie są w Muzeum Pergamońskim w Berlinie, kilka znajduje się w rękach prywatnych.

– A ta? Powiedziałeś, że ojciec Tarasco interesował się czarownicami, co, jak przypuszczam, oznaczało także zainteresowanie obiektami okultystycznymi.

– Może, choć nie sędzę, żeby to był autentyk. Talmudyczną magię zaczęto praktykować w trzecim wieku, a zaprzestano około siódmego. – Vigor poruszył dłonią nad czaszką, jakby rzucał zaklęcie. – Podejrzewam, że ten artefakt nie jest tak stary. To góra czternasty, może trzynasty wiek. Aby to potwierdzić, posłałem ząb do uniwersyteckiego laboratorium.

Rachele powoli skinęła głową, zastanawiając się w milczeniu nad tym, co usłyszała.

– Przestudiowałem także napis – powiedział Vigor. – Dobrze znam ten wariant aramejskiego. W transkrypcji jest wiele poważnych błędów: odwrócone znaki diakrytyczne, źle postawione lub brakujące akcenty. Jakby ktoś wykonał kiepską kopię oryginalnego napisu, ktoś nieznający dobrze tego starożytnego języka.

– Więc to fałszerstwo?

– Moim zdaniem twórcy tego obiektu nie kierowali się złymi intencjami. Stawiałbym na to, że zrobiono go nie dla oszustwa, lecz dla swego rodzaju archiwizacji. Ktoś bał się, że zawarta w napisie wiedza może zostać utracona, robił więc kopie, aby zachować starożytny przekaz.

– Jakiego rodzaju?

– Zaraz do tego przejdę.

Vigor sięgnął do skrzynki, wyjął drugi przedmiot i położył go obok czaszki. Była to starożytna księga, szeroka jak dłoń mężczyzny i dwa razy dłuższa, oprawiona w surową skórę, ze stronicami zszytymi nierównym ścięciem grubym sznurkiem.

– Oto przykład tego, co z hiszpańska nazywa się *bibliopegia antropodérmica*.

– A to znaczy...? – Rachele wykrzywiła usta.

– Że książka jest oprawiona w ludzką skórę i zszyta ludzkimi ścięgnami.

Rachele ponownie cofnęła się o krok, tym jednak razem nie wróciła do biurka.

– Po czym to poznałeś?

– Nie poznałem. Przesłałem próbkę skóry do tego samego laboratorium, do którego posłałem ząb, i poprosiłem o analizę DNA oraz datowanie. – Vigor wziął do ręki makabryczny wolumin.

– Jestem jednak przekonany, że się nie mylę. Obejrzałem księgę pod mikroskopem. Pory ludzkiej skóry wyraźnie się różnią wielkością oraz kształtem od porów zarówno skóry świńskiej, jak

i cielecej. A jeśli przyjrzeć się bliżej, to pośrodku okładki...

Przeciagnął paznokciem po znajdującym się dokładnie pośrodku śladzie, wyglądającym jak przecięcie albo gruba fałda.

– Przy odpowiednim powiększeniu da się dostrzec mieszki włosowe rzęs.

Rachele zbladła.

– Rzęs?

– Na okładce znajduje się powieka ludzkiego oka zaszyta cienkimi pasemkami ścięga.

– Co to jest? – spytała siostrzenica Vigora, gdy przełknęła głośno ślinę. – Jakiś okultystyczny tekst?

– Tak sądziłem, zwłaszcza biorąc pod uwagę zainteresowanie Josipa węgierskimi czarownicami, ale nie, nie jest to demoniczny manuskrypt. Choć w pewnych kręgach jego treść uważa się za bluźnierczą. – Vigor ostrożnie otworzył księgę, starając się nie nadwyreżać szycia. Karty były zapisane łaciną. – To gnostyczna księga Biblii.

Rachele, która dobrze знаła łacinę, przysunęła się i przetłumaczyła pierwsze słowa.

– „To są tajemne słowa, które Jezus żywy wypowiedział...”* – Rozpoznając tekst, spojrzała na wuja. – Ewangelia Tomasza.

Monsignore Verona pokiwał głową.

– Świętego, który wątpił w zmartwychwstanie Jezusa.

– Ale dlaczego oprawiono tekst w ludzką skórę? Dlaczego twój zaginiony przyjaciel miałby ci przysyłać coś tak makabrycznego?

– Ku przestrodze.

– Przed czym?

Vigor popatrzył na czaszkę.

– Umieszczone tu zakłęcie jest prośbą do Boga o niedopuszczenie do końca świata.

– Zdecydowanie jestem za, tyle tylko, że...

* Tłumaczenie ks. Wincenty Myszor.

– I jeszcze jedno. Na czaszce napisana jest także przepowiadana data apokalipsy – przerwał jej wuj. – W centrum jej spirali. Przeliczyłem liczby ze starożytnego żydowskiego kalendarza na naszą miarę czasu. – Dotknął środka spirali. – Z tego właśnie powodu ojciec Josip wyszedł z ukrycia i przesłał mi te przedmioty.

Rachele czekała na puentę.

Vigor Verona wyrzwał przez okno na jarzącą się na nocnym niebie kometę, dość jasną, aby zawstydzić księżyc. Widok zapowiadającego nieszczęście niebiańskiego zjawiska wywołał w nim dreszcz.

– Koniec świata nastąpi... za cztery dni.